

25.11.1948r. Filharmonia Śląska. Nadzwyczajny koncert symfoniczny w ramach współzawodnictwa pracy i Kongresu Zjednoczeniowego partii robotniczych. Program: Berlioza uwertura do opery "Karnawał rzymski", Schummana koncert wiolenczelowy A-mol, Lumomira Różyckiego Fragment dramatyczny (I wykonanie), Liszta Poemat symfoniczny "Preludium", Czajkowskiego wariacje "Rococo". Solista Daniel Szafran, dyrygent Witold Krzemiński.

Bywają koncerty nieudane, miłe, oraz takie, z których słuchacz wynosi głębokie i niezatarte wrażenie. Do tych należał bezsprzecznie ostatni koncert symfoniczny Filharmonii Śląskiej. Przyczynił się do tego głównie solista, a w pewnej mierze również umiejętnie i ze smakiem dobrany program.

Uwertura Berlioza "Karnawał rzymski" należy do utworów bezpretensjonalnych, pozbawionych górnych lotów, ale za to ujmujących świeżością barw, bogactwem pomysłów, szczerością i ciepłem melodii. Dyrygent Witold Krzemiński prowadził ten utwór z dużym polotem i swadą, chociaż były miejsca uderzające brakiem swobody.

Koncert wiolenczelowy Schummana to arcydzieło o klasycznej (zważ (zwłaszcza w pierwszej części) formie i treści roztaczającej przed nami niezmiernie różnorodny świat wewnętrznych doznań, poczęwszy od subtelnych wzruszeń poprzez uczucia mocne, przechodzące w końcowym etapie w jakieś namiętne zapamiętanie. Stosunek instrumentu solowego do orkiestry wykazuje pewne nierówności. O ile bowiem część środkowa wykorzystuje w pełni możliwości i zalety wiolonczeli, o tyle w częściach skrajnych przemawia mocniej akompaniament orkiestry.

Partię wiolonczelową koncertu wykonał znakomity wirtuoz radziecki Daniel Szafran. Rzadko spotyka się artystę o tak wszechstronnie rozwiniętym i dojrzałym talencie. Wszystkie jego walory, składające się w sumie na mocną, oryginalną osobowość, uzupełniają się wzajemnie w doskonałej proporcji i równowadze. Mimo że w pierwszym rzędzie uderza nas potoczystość linii melodyjnej, soczysty, wypieszczony, aksamitny ton, niepospolita inteligencja, kolosalne skupienie wewnętrzne w ciągu dalszej gry usuwają się na plan dalszy, a uwagę skupiamy raczej na ujęciu arcydzieła, którego wielkością jeste

my porwani.

W akompaniamencie Witold Krzemiński trzymał w ryzach orkiestrę i pięknie zciszał piana, chociaż jeszcze były nieliczne momenty, w których orkiestra kryła solistę. W ostatniej części wystąpili nierówności. Rzeczony wypad akompaniament przepięknych wariacji "Rococo" Czajkowskiego.

Po za kilkakrotnie wykonanym u nas poematem symfonicznym "Freludia" Liszta usłyszeliśmy w pierwszym wykonaniu Fragment symfoniczny L. Różyckiego. Utwór to dojrzały, lapidarny w ujęciu, zwarty w budowie, bogaty w środkach, wspaniały w instrumentację, o tematyce związanej z wojennymi przeżyciami kompozytora. Obydwa utwory Krzemiński interpretował bardzo interesująco.

Po koncercie pytałem Szafrana skąd bierze się u niego ta technika, doprowadzona do szczytowych granic ludzkich możliwości. "Pracuję 6 - 8 godzin dziennie nad opanowaniem instrumentu. To wszystko," - odpowiedział artysta.

Skromność nie pozwoliła mu wspomnieć o talencie, my jednak wiemy, że obok zdolności najważniejszą rzeczą jest praca, do której wielu naszych artystów czuje chroniczny wstręt, a którą ludzie radzieccy pobijają wszystkie rekordy świata. Ale bo też w Związku Radzieckim podejście i stosunek do pracy są biegunowo odmienne. Tam praca, a zwłaszcza nad sobą, ^{nie} jest przekleństwem człowieka, a wyzwoleniem jego sił twórczych. Jest ludzką godnością. Powinni brać z tego przykład zwłaszcza nasi artyści, którzy wykazują wcale nie mniejsze utalentowanie od artystów radzieckich, lecz grzeszą często beczynnym wylegiwaniem się na laurach, spowodowanym zaślepieniem kilku ^{ma} początkowymi sukcesami. Zapominają o tym, że wówczas dopiero można mówić w muzyce o interpretacji dzieła, kiedy samo opanowanie rzemiosła osiągnęło granicę mistrzostwa. Przy takim podejściu nie będzie przykrego "zawodu się" na estradzie oraz okaże się zbyt dużą gonitwą za możliwymi protektorami w celu uzyskania stanowiska czy przychylniej recenzji.

A. Dygacz